

Dwa monodramy

TEATR NARODOWY „Garderobiany” w Narodowym nie dorówna legendzie dramatu Harwooda. Jan Englert i Janusz Gajos grają bez kontaktu, tracąc szanse na stworzenie wielkich ról

Jacek Wakar, Polskie Radio

Był kiedyś taki gangsterski film „Gorączka”. Reklamowano go tym, że pierwszy raz zagrają w nim razem Al Pacino i Robert DeNiro. Tyle że nie zagraли. Jedyną wspólną scenę kręcili osobno. Resztę zrobił montażysta. Myślałem o „Gorączce”, oglądając „Garderobianego”. Było o tym spektaklu głośno od miesięcy, bowiem Jan Englert i Janusz Gajos dotąd nie spotkali się na scenie. Pierwszy drugiego z sukcesem reżyserował (świetna „Udręka życia” Levina wciąż jest na afiszu Narodowego), ale razem nie zagraли. Najbardziej znana sztuka Ronalda Harwooda zdawała się być idealnym materiałem na ten pierwszy raz. Rzecz autotematyczna,

idealna do tego, by aktorzy zmieścili w przedstawieniu poza słowami własny stosunek do teatru. No i kontekst historyczny. Tekst rozślawił spektakl Zygmunta Hubnera z Teatru Powszechnego. Sira grał Zbigniew Zapasiewicz, Normana – Wojciech Pszoniak. Wciąż mam to przed oczami. Potem w Ateneum z legendarnymi rolami zmierzili się jeszcze Gustaw Holoubek i Marian Kociniak. We Wrocławiu Sirem był Igor Przegrodzki, garderobianym Jerzy Schejbal. Że teraz Englert i Gajos było naturalną kolejną rzeczą.

Kłopot w tym, że Jan Englert i Janusz Gajos spotkali się w tym „Garderobianym”, a jest tak, jakby do ich spotkania nie doszło. Wielcy aktorzy nie mają ze sobą kontaktu, pracują obok siebie, nie dążąc

do emocjonalnej rozgrywki. Każdy prowadzi swego bohatera po sprawdzonych torach, dlatego trudno o najmniejszą niespodziankę. Jan Englert pokazuje aktora żegnającego się z teatrem i życiem raz mocnym gestem, a raz zapadaniem się w siebie. Najlepszy jest, gdy gra solo. Wtedy wychodzi na jaw, iż ten Sir może sam siebie ma za mistrza, ale jego status jest mocno podejrzany. Myślę, że lepiej byłoby, gdyby Englert dał Sirowi szczyptę własnej ironii. Niechby zabawił się własnym wizerunkiem i zrobił z niego kawał kabotyna... Tym bardziej że Janusz Gajos najlepszy jest wtedy, gdy ćwiczy otoczenie z wprawą wojskowego kaprała. Wtedy już wiemy, że jego Norman to typ wyrachowany i nieprzyjemny. Teatru



foto. Tomasz Urbanek/EAST NEWS

w gruncie rzeczy nienawidzi, czuje, że odsiaduje tam dożywotni wyrok. Gdyby Adam Sajnuk zdecydował się odczytać „Garderobianego” wbrew stereotypowi jako opowieść o nienawiści do przegranego życia i konsekwencji złych wyborów, zapewne efekt byłby inny. A tak mamy na scenie

co najwyżej dwa oderwane od siebie monodramy. W dodatku sam dramat Harwooda też stracił wiele ze swej siły.

Scenografia Katarzyny Adamczyk – po prawdzie obrzydliwa – nie wiedzieć czemu przypomina bunkier albo schron przeciwatomowy. Kuriozalna jest plumkająca

w tle muzyczka Michała Lamży. Publiczność będzie chodzić na Englerta i Gajosa, a jednak szkoda zmarnowanej szansy na wydarzenie. ©

„Garderobiany” Ronalda Harwooda | reżyseria: Adam Sajnuk | Teatr Narodowy w Warszawie